ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. **Niedziela 24 czerwca 1934 r.** **Nr. 26**

Zygmunt Borowicz

Fabryka inteligencji

Reportaż z egzaminów uniwersyteckich

WIOSNA

Kiedy w decydujący dzień egzaminu przyszły prawnik wychodzi z domu, przedewszystkiem spogląda z zaciekawieniem na zielone liście drzew. Student prawa — jak mówi przysłowie — uczy się tak, że nawet nie wie kiedy, nadeszła wiosna. Teraz wiosna objawia mu się, droga do Uniwersytetu ma w sobie ukrytą wolność wakacyj, słońce już nie jest tylko sprawcą złego, ciężkiego upału, który nie pozwala intensywnie wykuwać formułek i punktów paragrafu ,ale jest także dawcą światła, promieni, b czego ciepła. Pierwszy lepszy chłodny powiew wiatru jest wiatrem znad rzeki, przypomina wodę, jej chłodną otchłań swobody, jej kolor niebieski, odbicie obłoków, niebo, ciszę, spokój.

Wszystko przesuwa się, jak miraże. Wiadomo, że coś takiego istnieje, lecz ma pozór bajki, a nie rzeczywistości. Nawet samo miasto, przez które idzie się na Uniwersytet, jest nierzeczywiste. Tramwaje są obce, ludzie chodzą zbyt dziwnie, zbyt normalnie, nic się nie dzieje, panuje udany spokój. Gwar i hałas miasta oszałamiają. Jest wprost nie do pojęcia, ażeby tulu ludzi żyło w innym kręgu spraw, żeby nie uczyli się napamięć całych foljałów definicyj, dat, aneksów, żeby ich nic, a nic nie obchodził ten fantastyczny egzamin, zdawany w najwyższem napięciu nerwów, składany przez podświadomość zmęczonego, opętanego abstrakcją studenta.

JAK Z WODOCIĄGU

Człowiek, który został sfotografowany i opisany w indeksie nie zjawia się na egzaminie. Tamten już dawno zginął przy wbijaniu w zastraszoną pamięć dwustu stron jednego podręcznika, trzystu drugiego, czterystu trzeciego, pięciuset czwartego. Odpowiedzi daje manekin, pozytywka, która potrafi wyrecytować dwanaście kategoryj zwolnień od podatku X, potrafi wymienić państwa, które podpisały konwencję o ochronie jaskółek, potrafi opowiedzieć rozwój umów o polowaniu na foki, potrafi zasypać profesora łacińskiemi cytatami z prawa kanonicznego.

Egzamin studenta prawa jest loterją z własną podświadomością, z zakrytemi drogami pamięci. Pytanie, słowo, zaczątek słowa musi natychmiast przekręcać w głowie studenckiej jakiś taki kran, żeby strumień wiedzy wytrysnął, jak z wodociągu.

Po pierwszym egzaminie jest już lżej, po wyjściu od następnego profesora jest przedsmak tej szczęśliwości, gdy już nic nie trzeba będzie wiedzieć, kiedy 3 miljony jaskółek, zabijanych corocznie wskutek braku ochrony międzynarodowej wyfrunie z głowy, kiedy wpływ Heraklita na filozofję prawa będzie nędznym odpadkiem myśli, śmieciem, który czem prędzej trzeba usunąć z pamięci. Ta potworna pamięć, rozdęta jak balon, ta cyrkowa tresura mózgu — za dwie godziny, za godzinę stanie się niepotrzebną. Mózg człowieka wyzwoli się, będzie mógł coś tworzyć. Za chwilę spełni się cud wypompowania tego wszystkiego, co na tę jedną chwilę wpompowywało się przez kilka ostatnich miesięcy.

Jeżeli szczęście sprzyja, po czterokrotnym zabiegu ładowania i wyładowywania wiadomości, osiąga się stopień magistra. Oczywiście tych, którzy są dostatecznie zaciekli, żeby to przebyć i mają dostateczną łaskę losu, jest niewielu. Cały tłum liznąwszy tego rodzaju dyscypliny naukowej, idzie w świat bez magisterjum, bez ukończonych studjów, ze świstkiem maturalnym w kieszeni. Ci zaś, którzy wydrukują sobie bilety wizytowe „magister iuris", dopiero wtedy zaczynają prawdziwą naukę, gdy pójdą do sądu, albo do kancelarji adwokata.

Tymczasem cztery lata młodości trzeba oddać wymaganiom systemu. Zamieniać się w kopje podręczników. Niejednokrotnie uczyć się całych ustępów na pamięć, tak, jak wierszyków w pierwszej klasie.

I ślepo, jak na stracenie, iść na próbę inkwizycji.

Profesor? Kim jest profesor dla studenta prawa? Nauczycielem, kierownikiem pracy, doradcą? 90 procent studentów widzi profesora w momencie brania podpisu w indeksie i w momencie składania egzaminu. Student uczy się, nie zna profesora i decydująca chwila egzaminu jest właściwie eksperymentem: czego profesor wymaga, o co się spyta?

Coprawda wśród studentów są tradycje. Woźni uniwersyteccy są bogami opiekuńczymi. Udzielają informacyj o naturze pytań, znają na wylot psychologję każdego członka Senatu Uczelni. Tak więc, jedna z takich zasad głosi, że ten oto profesor zaczyna pytać od pierwszego siedzącego z lewej strony, a następnym każe poprawiać i uzupełniać odpowiedź pierwszego. I teraz dopiero dysputa! Są dwie szkoły; szkoła pierwsza utrzymuje, że należy zająć miejsce z lewej, gdyż nie będzie się miało trudnych uzupełnień, litanji szczegółów, szkoła druga twierdzi, że miejsce z prawej jest jedyne, gdyż będąc ostatnim, można się namyślić.

Zamknięte drzwi. Tam — za białemi drzwiami, staje się! Kolekcja nerwowców stłoczyła się pod listą z nazwiskami. Nasłuchują, przykładają ucha do framugi, zaglądają w dziurkę od klucza. Równocześnie kilku przygotowuje łokieć, przepycha się pod sam próg, każdy przysięga sobie, że wejdzie pierwszy, pierwszy usiądzie, że odrazu schwyta pierwsze krzesło i nie ruszy się stamtąd, żeby nie wiem co.

I drzwi się otwierają. Ci wszyscy odważni, twardzi nagle stają bladzi i przerażeni. Oczami zawiśli na ustach wychodzących.

— O co pytał? O co pytał?

Już! Następni!

TRZY ELEMENTY

Stojący na początku, wepchnięty, przeznaczony przez fatum na ostatnie krzesło, zatrzymuje się, robi zwrot i sugestywnym gestem wskazuje kolegom przejście. Przepuszcza ich pierwszych w wytwornej grzeczności. Przeszli, jak zahipnotyzowani. Zanim się zorjentowali, minęli go, już tamten zajął pierwsze miejsce.

Ostrowski ma pierwsze miejsce i pierwsze pytanie. Twarz profesora marszczy się, brwi ściągają się, znów czoło się wygładza, powieki mrugają, usta wykrzywiają się sarkastycznie.

Pada wyrok: Państwo u Arystotelesa.

Ostrowski zaczyna mówić, zahacza się w ostatniem słowie definicji. Profesor przymyka oczy, po twarzy przebiega mu wyraz beznadziejnego znudzenia, wolno unosi rękę, wolno ją opuszcza i po tem machnięciu ręką zamierającym, zduszonym głosem mówi:

— Mniejsza o definicję...

Student wrócił do życia. Owo „mniejsza" natchnęło go wspaniałemi nadziejami. Państwo Arystotelesa stało się cudownym tematem. Migają mu przed oczyma stronice książki. Opowiada, recytuje, niemal zacinają mu się szczęki w pośpiechu mowy, w gorączce zatarcia wrażenia nieszczęsnej definicji.

Nagle jakby uciął nożem: Trzy elementy?

Jakie trzy elementy? Czego? Gdzie? Nie rozumiem! Ratunku! To jest obcięcie się. To strata roku. Początek złego. Wysiłek Przełamać nieśmiałość. —Panie... panie profesorze, nie rozumiem pytania...

Zamierający głos nabiera tonu ironicznego i z wysokości katedry spada zdanie: — Chyba powiedziałem wyraźnie: trzy elementy.

Milczenie. Ta cisza ściska serca wszystkich. Nikt nie wie, z czem są związane trzy elementy. Apokaliptyczna bestja trzech elementów wisi nad ich głowami. Usta ich modlą się gwałtownie: Oby Ostrowski odpowiedział! Oby odpowiedział! Bo jeśli nie on, to ja, to ja, a ja — nie wiem.

A PAN? PAN?... PAN NIE WIE?

Toną wszyscy. Jak grad sypie się: A pan? A pan? Pan też nie wie? Powrót do Ostrowskiego.

— Sofiści!

Jak pocierz, jak pacierz! Ostrowski poprawia się na krześle, sadowi pewnie, rzec można — rozgaszcza — i z jasnym wzrokiem, z poczuciem swej tresury, deklamuje:

— Sofistyka w tradycyjnem znaczeniu konkretnej zbiorowości jednostek jest niehistorycznem rzutowaniem objawów masowych symptomatycznych na skromną i fikcyjną arenę działania pewnej liczby osobników, jest oglądanem przez pryzmat polemiki platońskiej odblaskiem społeczeństwa, które...

Odeszła czerń zatonięcia. Chwila oddechu. Pytanie: volonté générale?

Znów deklamacja. Katedra przerywa: — Kiedy powstaje?

Co kiedy powstaje? Jak? Nie rozumiem! O co idzie?

— A pan? A pan? Pan? Pan również nie? Dziękuję panom.

Ostrowski zbladł. — Panie profesorze, czy mógłbym się spytać, co dostałem?

Milczenie. Niebywała śmiałość studenta. Ale odpowiedź przychodzi łagodna, uśmiechnięta: — Pan profesor M... będzie jutro ogłaszał wyniki egzaminów. Skinienie głową. Ukłony. Ukłony śmieszne, wrogie, groteskowe.

JOWISZ NA OLIMPIE

Inne drzwi. Pokój w kłębach dymu. Na katedrze, jak na ołtarzu, otoczonym kadzielnicami, jak Jowisz, siedzi profesor niewzruszony, nie wymawiający ani jednego zbytecznego słowa, bez jednego gestu, z głową, jak z kamienia, z oczami wpatrzonemi w jeden punkt. Jedyny znak życia — to wybuchy dymu. Nie widać ruchu warg, a słychać:

— Nazwisko? Nazwisko? Nazwisko...

Krzesła ustawione są w półkole. Maleńki zwrot głowy. Szkoła historyczna? Ostrowski opuścił w książce tych parę wierszy. Nic nie wie o szkole historycznej. Milczy. Mijają sekundy. Profesor zapalił nowego papierosa. Mijają dwie minuty. Na profesorze nie robi to wrażenia. Ostrowski nie może dłużej znieść tej ciszy i jąka: — Nie wiem, panie profesorze...

Głowa profesorska zwraca się do innych, potem maleńki ruch znaczy: powrót do Ostrowskiego. Ostrowski przeczuł, że jest to ostatnie pytanie. Wobec złego wyniku poprzedniego egzaminu, sprawa Ostrowskiego teraz się rozstrzygnie. — Co to jest struktura rolna?

Znów minuta, druga. Profesor pyta następnego, ten mówi mętnie, pytanie dochodzi do piątego. I w tym momencie Ostrowski wybucha, jak fajerwerk, triumfuje syntezą, błyszczy szczegółami, a profesor gasi papierosa. bierze świeżego, puszcza kłąb dymu, zwraca głowę i zapytuje zimnym głosem:

— I czemuż pan tego odrazu nie powiedział?

A CONTRARIO...

Pytania spadają na piątego. Ostrowski uszczęśliwiony, uratowany powtórnie, słyszy, jak tamten opowiada coś o akcji, którą można podjąć tylko w ciągu roku i t. d. Głos z chmur formułuje nową trudność.

— A co to znaczyć będzie a contrario?

A contrario. To słówko zgubi piątego. Piąty nie wie. Nie rozumie. Prosi o wyjaśnienie.

— I cóż ja panu poradzę, że pan nie wie co znaczy a contrario... Może pan? (do czwartego).

Czwarty staje przed otchłanią. Chwyta się rozpaczliwego środka: to znaczy, że po roku już tej akcji nie można...

— Więc pan mógł powiedzieć, a pan nie mógł?

I cisza znowu. Słychaćby było muchę. Lato. Za oknami drzewa. Profesor wypala papierosa do końca, gasi, bierze nowego. Bierze ołówek i wolno, na oczach egzaminowanych stawia niewiadome stopnie.

I JESZCZE, I JESZCZE I JESZCZE...

Stąd przechodzi się na jeszcze jedną próbę. Na podwójny egzamin, zdawany przed jednym profesorem. Drzwi otwierały się tylko dla dwóch. Wchodząc, stawali przed długim stołem, na którego końcu siedział egzaminator. Ten wyróżniał się powitaniem — „dzień dobry". Wskazywał ręką miejsca. Nazwisko? — Szaja Silberberg, Kamil Ostrowski.

— Panie Szaja Silberberg, niech pan mi powie...

Szaja Silberberg maleje, niknie, z jego pewności siebie nie zostaje nic. Przekonanie o własnej wiedzy, tupet, swoboda, uczony ton, wszystko to topi się w strugach potu, jaki płynie po czole.

Silberberg wykazał się znajomością statutu Ligi Narodów, prawa wojennego, umów celnych, aż wreszcie musiał dźwignąć ciężar komisji Odry. — Niech mi pan powie o Komisji Odry...

Wymienia państwa, należące do tej instytucji. Ręka profesorska rozstawiła palce. — I jeszcze i jeszcze, i jeszcze...

Silberberg ma już błędne oczy, powtarza od początku: Polska, Prusy, Czechosłowacja. Danja, Anglja i... i... Norwegja W oczach pytanie, czy aby tak. Profesor beznamiętnie prostuje: — Szóstem państwem jest Szwecja. I nowe pytanie. I znów palce czekają na wymienienie siedmiu państw, a potem pięciu państw, a potem dziewięciu przypadków, trzech działów, czterech możliwości — nakoniec ręka zwija się i zwraca ku drugiemu.

— Panie Kamilu Ostrowski...

PROF. R... I PROF. M...

Są tacy, którzy nie przerażają postawą, oczami, głosem. Jeżeli np. profesor cały czas poprawia sobie podwiązkę i właściwie tkwi raczej za katedrą, niż na katedrze, to jednak dodaje ducha pytanym. Tu, wszyscy wiedzą, trzeba umieć, ale u R... niema inkwizycji. Tak samo u M... Tu trzeba oczekiwać tradycyjnych pytań, które stanowią pierwszy ogień, przygotowawcze ostrzelanie.

Każdy stara się siąść pierwszy, gdyż wie, że otrzyma pytanie: co to jest przestępstwo kradzieży? A drugi będzie spytany: co to jest przestępstwo oszustwa?

Studenci dumni, uradowani, recytują konwencjonalne odpowiedzi, profesor grzebie w papierach, okulary jeżdżą na czoło i z czoła na nos, i potem spowrotem, aż w pewnej chwili wędrówka ustaje i profesor zadaje pierwsze pytanie ważne. Pytanie szczegółowe.

Nawet tu, nawet wśród tych pytań rzeczowych, jasnych gaśnie świat. Nawet tu jest tortura. Bo jest zmęczenie. Resztka napięcia. Pragnienie końca.

Na korytarzu, gdzie opowiada się wrażenia z egzaminu, gdzie koledzy wychudli, zdenerwowani, o mokrych rękach, chwytają za ubranie, ciągną — co pytał? — i notują — tu na korytarzu, w ciżbie, huczy głos zza ściany. Głos profesora.

Pierwszoroczniak wybiega pędem z drzwi gabinetu. — No i co?

— Nic mi nie wierzył, — jąka się, rozdygotany, zrozpaczony — ciągle się pytał: A czy tak naprawdę? — powiedział, że nie mam zielonego pojęcia, że słup telegraficzny inteligentniejby się nauczył, że niema miejsca dla półinteligentów... Kazał się wynosić!

No tak, znamy, wiemy. Koniec z tobą bratku. Już chyba leżysz. Może poprawka tylko. Może. Ale to nas właściwie nic nie obchodzi. Myśmy zdali. Wszystko jest nam obojętne. Spać. Spać. Niema radości. Jedyne, jedyne co jest — znużenie. Przeszło coś złego, minęło. Już niema. Sen. Aby pójść prędzej. Odejść stąd.

HURTOWNIA INTELIGENTÓW

I oto przez tego już przeszło żarno egzaminacyjne. Jeszcze musi zetrzeć innych. Około tysiąca z pierwszego roku studjów (44 proc. nie zda), ponad pięciuset z drugiego roku (26 proc. nie zda), tyleż mniej więcej na trzecim (13 proc. nie zda), ponad czterystu na czwartym (13 proc. nie zda). Co roku z egzaminacyjnej mordęgi. próby i loterji (bo są to te trzy rzeczy naraz) wyjdzie w świat 390 dyplomowanych prawników. Tylko na jednej uczelni. Z dyplomem, a bez żadnego przygotowania praktycznego... Z obkuciem paragrafów, formuł, ze szczyptą prawniczego myślenia i z pozorami jakiegoś *wyższego* wykształcenia, jakiegoś rozszerzenia horyzontów.

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Wielka i mała ulica

W Warszawie niemożliwe jest wyraźne przeprowadzenie podziału klasowego mieszkańców. Wyraźny natomiast jest podział społeczny na małą i wielką ulicę.

Przez wielką ulicę się przechodzi, nawet jeżeli się przy niej mieszka. Na małej się żyje. Wielka ulica to martwy zbiór przedmiotów i cyfr: tylu a tylu przechodniów, tyle a tyle samochodów dziennie w najruchliwszym punkcie, tyle a tyle wypadków, tyle a tyle bram, mieszkań, mieszkańców, tyle a tyle metrów długości, pięter, linij tramwajowych, kiosków, drzew... Wielka ulica to statystyka.

Nawiasem mówiąc, pamiętacie chyba, co mówi stara anegdota o istocie statystyki: „Jeżeli pańska żona zdradza pana codziennie, a moja mnie wcale, to statystyka mówi, że nasze żony zdradzają nas trzy i pół razy na tydzień". Tyle też można powiedzieć o wielkiej ulicy, która żyje pod przewagą bezbarwnego, bezosobowego, izolowanego i samotnego życia tak zwanej inteligencji.

Co innego mała ulica. Na małej ulicy istnieje opinja społeczna. która ustala, dlaczego Jurek pobił się z Władkiem, kto winien złemu pożyciu szewcostwa, a kto kryzysowi.

Gdyby postawiono kogoś nagle na wielkiej ulicy w chmurny dzień, nie określiłby napewno, która godzina i jaki dzień tygodnia. Na małej ulicy widać to odrazu. Na małej ulicy widać, czy jest godzina przed pracą, w czasie pracy, po pracy, przed zamknięciem bram, czy po zamknięciu bram, sobota wieczór, czy niedziela rano. Na małej ulicy żyje jeszcze tradycja, ta sama, co na wsi, czy w małem miasteczku, tylko już zamącona. Mała ulica ma przytem swoją odrębną modę.

Jeżeli ktoś chce wiedzieć, co myślą ludzie w Warszawie, nie powinien chodzić po wielkich ulicach. Tam najwyżej zbierze sto sprzecznych opinij, jeżeli nie jednostek, to mieszkań conajwyżej. Na małej ulicy dowie się, co myśli miasto, bo tam rodzi się, uciera i ustala opinja, często nieznana wielkim tego świata, a przecież ważna.

Na małej ulicy widać także kwestję socjalną, nie w karykaturalnej postaci żebraka z pożyczanem dzieckiem, ale w postaci kilkunastu młodych ludzi, którzy w godzinach pracy stoją na rogu i palą jednego papierosa, patrząc z niechęcią na żydowski sklepik kolonjalny na przeciwnym rogu.

Mówiłem o znaczeniu godziny zamknięcia bram. Tu trzeba zwrócić uwagę na dwie rzeczy. Na wielkiej ulicy wychodzi się z domu, wsiada w tramwaj, albo idzie w jakimś celu. Na małą ulicę wychodzi się w wolnej chwili, zwłaszcza wieczorem, w celach towarzyskich. Wówczas tworzy się opinja. Wraca się, gdy zamknięcie bramy grozi wydatkiem, lub konfliktem. I tu przechodzimy do drugiej sprawy — do pozycji społecznej stróża.

Stróż na wielkiej ulicy jest czemś niższem od lokatorów, kłania się im pierwszy i nieźle na nich zarabia. Stróż na małej ulicy jest czemś wyższem od lokatorów. Jemu kłaniają się lokatorzy pierwsi, ale nie zarabia na nich prawie nic. Wolałbym być stróżem na małej ulicy, ale to już rzecz gustu.

Są jeszcze i inne różnice. Wielka ulica jest zwykle międzynarodowa, mała jest zwykle albo polska, albo żydowska. Na małej ulicy widać jeszcze jedną cechę współczesnej Warszawy, która nie zaznacza się wyraźnie na wielkiej ulicy, a raczej wsiąka w nią. Mam na myśli wielki rozwój liczebny ludzi niewyraźnej kondycji (jak mawiali przodkowie) i wogóle niejasnych typów, które bądźcobądź (jak mówią Francuzi: soit que soit) na małej ulicy bardziej odstają od tła, niż na wielkiej.

Życie narodu opiera się na środowiskach, najrozmaitszych środowiskach, w których wytwarza się styl, opinja i między któremi wytwarzać się musi harmonja.

Wieś jest środowiskiem, miasteczko wtedy, kiedy nie jest zmajoryzowane przez żydów (czy można mówić o Górze Kalwarji, jako środowisku w życiu narodu polskiego?), mała ulica w wielkiem mieście jest środowiskiem, wielka ulica niem nie jest. A przecież wielka ulica rządzi państwem i kieruje życiem narodowem (tak przynanajmniej twierdzi). Więc dlatego też kierownictwo to wisi w próżni i nie spełnia należycie swoich zadań. Ci tylko z pretendentów do elity coś zrobią, którzy przeprowadzą się na małą ulicę.

Kazimiera Iłłakowiczówna

Jak to się dzieje, że nasi nieprzyjaciele naprawdę godni są miłości

II.

WYPRÓBOWANIE NIEPRZYJACIÓŁ

Państwoście nieraz przecie czytywali wzmianki o zmarłych mężach stanu, lub pisarzach. Co nas uderza w takich notatkach? Oto to, że ta część prasy, która za życia była nieboszczykowi otwarcie wroga — po śmierci daje zwykle najlepszą, najstaranniej opracowaną ocenę jego działalności. Podczas gdy prasa zaprzyjaźniona, która zawsze zmarłego popierała i broniła, drukuje ogólnikowe, mętne i nieciekawe o nim artykuliki — wrogowie wielkiego człowieka ważą z niezachwianą prawdą i umiarem istotne jego walory, a co najważniejsze kładą niezmiennie nacisk na te spośród jego zalet, których podniesienie i pochwała sprawiłyby samemu nieboszczykowi największą przyjemność.

Tyle w życiu słyszałam prawd i truizmów o wrogości i o nieprzyjaciołach, oraz o tem, czemu i komu nie należy ufać i kogo i czego bać się wypada — że w stosunku właśnie do całej tej strony życia czujność moja wrodzona i niedowiarstwo nastawiały się od początku specjalnie badawczo. Czułam wprost nieprzepartą konieczność, by każdego nieprzyjaciela, narzuconego mi przez innych, lub przez niego samego, obejrzeć dokładnie, wypróbować, wysondować, obrócić tak i owak. Do jakich przytem doszłam wyników, to już potrochę w tej gawędzie miałam zaszczyt państwu zreferować. Nie osiągnęłam jeszcze jednak ostatecznych konkluzyj, mam więc mocną nadzieję, że Państwo tutaj obecni pomogą mi szperać, sondować, podpatrywać i wciskać się w każdą szparę, tak abyśmy razem doszli do owej konkluzji.

Na początek, możeby mi kto z Państwa powiedział, czy przez to, że ktoś staje się moim nieprzyjacielem i ja tem samem wzajemnie jestem jego wrogiem? Czy wrogość może być jednostronna, czy też stosunek ten musi koniecznie być wzajemny, dajmy na to tak, jak stosunek bliźniąt t. j., że skoro ja jestem jego bliźniakiem, to on jest moim. A z drugiej strony, jeśli ja nagle przestanę się bać mego wroga i stracę nienawiść i niechęć do niego, to czy u niego przez to samo zajdzie jaka zmiana, czy też i nadal pozostanie on do mnie w tym najdziwaczniejszym ze wszystkich stosunku, w stosunku wrogości, tak długo, aż świadomie się go wyprzysięgnie? Powiecie mi Państwo, że jest dość bezcelowem zastanawiać się nad tem, dlaczego i do jakiego stopnia kocha się nieprzyjaciół swoich— skoro się nawet nie wie dokładnie, kiedy i z kim zachodzi stosunek nieprzyjacielski... Macie rację, ale nie należy sądzić mnie zbyt ostro: jak mogę i umiem, staram się poradzić sobie z tą rolą najbardziej ze wszystkich bezpłodną. Ciernie chwytają mię za suknię, ostre źdźbła trawy nożami ranią mi ręce, a oset i macierzanka nie są — biedactwa — w stanie mi dopomódz. Taka wycieczka odkrywcza to nie żarty, bo wszakże uporządkowano i uprawniono świat cały, i tylko ta posępna dziedzina nieprzyjaźni jest dziś równie niezbadana jak za dni Abla i Kaina.

BLISKI STOSUNEK

Razem doszliśmy tylko do przekonania, że wróg nie jest człowiekiem obcym, że stosunek nasz z nieprzyjaciółmi nie tylko nie ma w sobie nic z obojętności, ale że można śmiało go określić jako bardzo bliski. Jeśli tak dbamy o naszą dobrą reputację, to przecież głównie ze względu na naszych nieprzyjaciół. „Mniejsza o opinję kochanego Jasia i drogiej Marysi“, mówimy, „ale o Boże, gdyby się o tem Piotr dowiedział!“ I nie chodzi nam bynajmniej wyłącznie o krzywdę, jaką wróg nasz. Piotr, mógłby nam wyrządzić gdyby znał tę lub ową z naszych słabych stron, ale nie możemy znieść myśli, że on właśnie będzie miał odtąd dla nas mniej szacunku. Potrzeba nam tego szacunku, żądamy, aby miał o nas dobre mniemanie. Tym sposobem nieprzyjaciel staje się w życiu naszem czynnikiem dodatnim, podobnie jak dobra książka lub dobre przykłady, z tą różnicą, że gdyby nawet on sam osobiście był mało wart, to nic nam to moralnie nie zaszkodzi, bowiem nie chodzi nam o to, by go naśladować, lecz by postępowaniem naszem wymusić na nim podziw.

Wiem z doświadczenia, że mówi się zwykle dzieciom: „Gdyby to Elżunia, ta grzeczna dobra Elżunia wiedziała, jak niegodziwie się zachowujesz, cóżby o tobie pomyślała!“ Dzieci, jak ogólnie wiadomo, doznają na takie dictum nieprzepartej nudy i niechęci. Czyż nie lepiej byłoby powiedzieć: „Poczekaj, jak się o tem dowie niegrzeczny Piotruś z sąsiedztwa, dopiero będzie się z ciebie wyśmiewał i lekceważył cię“. Ręczę, że natychmiast dzieci doznałyby szczerej skruchy i mocnego postanowienia poprawy. Jakie to smutne, że odwieczna tradycja obyczajowa nie pozwala wychowawcom naszym świadomie używać uszlachetniającego wpływu nieprzyjaciół na młodzież!

W OBLICZU WROGA

Otoczeni przyjaciółmi, jakże łatwo stajemy się rozmiękli i słabi, bez kośćca, jak łatwo rozmijamy się z prawdą, jak niedbale spełniamy obowiązki. Bo przyjaciele są dobrzy, ufni i godni zaufania, bo pobłażają, łagodzą i przebaczają... Ale niechno tylko na horyzoncie błyśnie wróg, już oblekamy się niejako w pancerz, prostujemy ramiona, prężymy się, sprawdzamy mięśnie, tak jak sprawdzamy argumenty, których mamy zamiar użyć... Otośmy silni, gotowi do walki, podobni Jakóbowi z Biblji, gdy ten zdał sobie sprawę, że oczekuje go walka z Aniołem, podobni również do drużyny przed meczem... Czy może być gra bez dwóch przeciwnych obozów, a mocowanie się bez przynajmniej dwóch przeciwników? Czego uczą nas sporty — być dobrymi przyjaciółmi, czy dobrymi nieprzyjaciółmi? Kto to rozstrzygnie? Czyż więc nieprzyjaciele nie są godni miłości?

Spytacie mię Państwo napewno, dlaczego wybrałam za przedmiot mego referatu tak cudaczny temat. Otóż na tę myśl naprowadziły mię światowe rozmowy o rozbrojeniu, które niewiadomo czemu przypomniały mi wszystko, co w ciągu szeregu lat nagromadziło mi się na temat nieprzyjaciół i nieprzyjaźni. Przybywam wszakże z kraju, który dopiero 14 lat temu wydarł się z rąk wrogów. Ileż to razy od dnia zmartwychwstania zdarzyło mi się rekapitulować w pamięci epokę niewoli i rozglądać się, a rozglądać, po granicach, tych linjach imaginacyjnych, które powstrzymują niejako wokoło nas sąsiadów naszych, Rosjan od prawej, Niemców od lewej strony. Związani konwencjami i traktatami, oto stoją nieruchomo, jak fale Morza Czerwonego, gdy na rozkaz Boży rozstąpiły się przed uchodzącym z niewoli Izraelem.

Pamiętam dobrze, co czuć byłam zwykła na widok tych cudzoziemców, którzy zagarnęli nas i pozostali wśród nas, rządząc nami, jak im się podobało, i narzucając nam swoją — tak obcą! obyczajowość i sposób myślenia. Jeszcze teraz świeże są groza i wstręt, które wstrząsnęły mną, kiedy umarła w Warszawie koleżanka mojej siostry, uczenica szkoły państwowej, Polka, i kiedy władze zabroniły aby na karawanie wiozącym wieńce żałobne, figurowały wstęgi z polskiemi napisami. Jak blizkim jest jeszcze ten czas już miniony, kiedy Niemcy w tej części Polski, którą zagarnęli, uchwalili prawo wywłaszczenia, zmuszając Polaków do wyprzedawania ziemi wbrew ich woli, a Rosjanie ze swej strony na pewnych terytorjach Polski zakazali Polakom zupełnie kupowania ziemi. Te prawa, wypierające nas z naszych starych siedzib, nigdy nie wyjdą mi z pamięci, jako symptom najstraszliwszego bezprawia przemocy.

INDYWIDUALNOŚĆ NARODU

A jednak... Nieprzyjaciele ci wnieśli ze sobą — oczywiście bezwiednie — taką orzeźwiającą atmosferę wysiłku i napięcia, że trudno mi orzec, czy ogółem biorąc nie zrobili nam więcej dobrego niż złego. Teraz kiedy jesteśmy wolni i oglądamy się poza siebie na te 150 lat twardej niewoli, możemy uczciwie skonstatować, że indywidualność, że osobowość polska chyba tylko zupełnie powierzchownie ucierpiała w ciągu tego okresu. Zgadzają się chyba Państwo ze mną, że najważniejszą, najistotniejszą rzeczą w człowieku czy w narodzie jest jego indywidualność. To jest to, co jest, co trwa, co czyni z nas żywe płomię, tę siłę, która buduje poprzed siebie, ponad siebie, w przyszłość. Gotowa jestem posunąć się jeszcze dalej i utrzymywać, że tem, jak silną mamy indywidualność, mierzy się niejako ilość Boga, którą nosimy w sobie. To indywidualność wyciska piętno nieśmiertelności na człowieku i na narodzie. Sprawiedliwość prosta wymaga stwierdzenia, że w okresie zaborów siła indywidualności polskiej nic a nic nie osłabła. Przeciwnie wzmagała się ona wciąż i rosła, aż w dniu zmartwychwstania rozwinęła się w niepodległość.

Codzień wróg wodził nas na pokuszenie, wypróbowywał nas— cnotę po cnocie, wadę po wadzie. Byliśmy kłótliwi i obraźliwi; nauczyliśmy się współdziałania i pobłażliwości. Byliśmy bierni i nieodporni, a udało nam się wyrobić w sobie wśród upokorzeń i umartwień specjalny rodzaj cierpliwości. Cnota owa pomogła nam o tyle, żeśmy, dźwigając jarzmo niewoli, nie wyhodowali w sercu zbyt wiele tej trucizny, która zwykle pożera ludzi zmuszonych bezczynnie znosić przemoc. Byliśmy leniwi, niedbali i zapominalscy — a siłą rzeczy musieliśmy pracować z żelazną konsekwencją, bo podziemnie, i bez dystrakcji, bo nielegalnie. Niewola nauczyła nas niezawodnej pamięci i nie mogło być inaczej. Wszakże język polski był poza prawem, książka polska zabroniona, piosenka polska prześladowana. Nie wolno było żadnej z tych oznak polskości, że tak powiem, nosić na zewnątrz, cóż więc za pamięć trzeba było mieć, żeby je wszystkie zachować w sercu nieuszkodzone i niezmienione! Naród który przeszedł takie ćwiczenia pamięciowe, już nigdy nie może się stać roztargnionym, ani cierpieć na brak pamięci. Nie jest moją rzeczą wydawać sąd o tem, czy wysilki nasze, aby stanąć na wysokości prześladowań, jakich byliśmy przedmiotem, zyskały nam szacunek naszych wrogów. To oni winniby się wypowiedzieć w tej materji. W każdym razie robiliśmy, co się dało, w tym kierunku i niewątpliwie wyszliśmy z tego czyśca jak stal z ognia — oczyszczeni i zahartowani. Czyż więc ci, którzy nas przez piec ognisty przeprowadzili, a więc nieprzyjaciele nasi, czyż nie są raz jeszcze godni miłości!

CZYŚCIEC

To co mówię, to wcale nie ma być sarkazm. To jest rezultat badania, sondowania, obracania podszewką do góry problemu nieprzyjaźni. Proszę sobie tylko wyobrazić co się dzieje z dzieckiem, rozwijającem się w tej atmosferze czyścowej, atmosferze niewoli, a więc nieprzyjaźni, wrogości. Uczą je — i słusznie — że są oto dwa rodzaje ludzi, cały świat i Oni, nieprzyjaciele. „To wolno ci powiedzieć każdemu, byle oczywiście nie komuś z pośród wrogów. To winieneś ukryć zupełnie. Nie obowiązuje cię mówienie prawdy, jeśli o nią zapyta nieprzyjaciel. Tego języka musisz się uczyć bo jest obowiązujący, ale pamiętaj, żebyś go nie lubił. Oto wiersze, naucz się ich na pamięć, bo to mus, ale pamiętaj, że to poezja wroga, nic cię więc jej piękno nie obchodzi“. Oto jak się uczy rozbratu, oto jak przecina się stosunki między ludźmi. I człowiek staje się człowiekowi straszną, obcą zagadką. Młode oczy patrzą z lękiem i ciekawością na przerażających cudzoziemców, w których mocy leży śmierć i życie wszystkich ludzi w ojczyźnie. „Czy to są szatani? Czy Zbawiciel ich także odkupił? Kto słucha ich modlitw, kiedy mają po swoich świątyniach swoje nabożeństwa? Czy możliwe, żeby ich słuchał nasz Bóg?!“

To jedna strona Czyśćca, ale spójrzmy i na drugą. Życie codzienne ogarnia nas całą siecią potrzeb, przypadków i zetknięć. Obce dzieci, chłopcy i dziewczęta, synowie i córki ciemiężycieli, kolegują z nami w szkołach. Nie umieją nieraz — o dziwo — lekcji i płaczą gorzko, kiedy dostają zły stopień. Biją się i tarmoszą ze sobą o jabłko lub monetę, zupełnie jak my. Dostają odry i nie przychodzą do szkoły, a kiedy się zdarzy, że wogóle więcej nie wrócą do klasy. dziwne to lecz prawdziwe, żal nas zbiera, kiedy spojrzymy na ich puste miejsce. I choć trudno wierzyć — faktem jest, że obce dzieci nie skarżą na polskie, kiedy te rozmawiają ze sobą w ojczystym zabronionym języku. Wręcz przeciwnie, wesoło i z całą swobodą starają się nas przed nauczycielem prześladowcą osłonić. Jest to zdumiewające, zważywszy, że są to przecież dzieci szatana, dzieci nieprzyjaciół.

A dalej — oto cudzoziemski, nieludzki policjant, zaklęty wróg w mundurze obcego kolejarza, groźny nieprzyjaciel w przebraniu kupca cudzoziemca, którego los zaniósł na terytorjum podbitego narodu. Zdarzają się i tu rzeczy najnieprawdopodobniejsze. Policjant wskazuje ci zbłąkanemu drogę wśród mgły, kolejarz ratuje ci życie, łapiąc cię w locie, gdy jako młody roztrzepaniec o mały włos nie wpadasz pod przebiegający pociąg. Obcy sklepikarz daje ci grubą nadwagę łakoci, bowiem uśmiech twój przypomina mu zmarłą dawno córeczkę. A gdy się o tem dowiadujesz i zaczynasz sobie wyobrażać małą umarłę nieprzyjaciółeczkę, to oczy wnet masz pełne łez narówni z dobrodusznym grubym owocarzem, — Moskalem, czy Niemcem.

W ten sposób całkowitość i nieprzenikalność światopoglądu dziecka ulega powoli zwietrzeniu, penetracji życia. Temu procesowi uległ i mój światopogląd i to jeszcze wówczas, kiedy zaborcy nasi byli nam ciemiężcami, nie sąsiadami. Człowieczeństwo — oto słowo, które się tutaj narzuca — człowieczeństwo było tą wodą pod skórną, która podminowała mocną powierzchnię odziedziczonej przezemnie mądrości pokoleń. Oczywiście musiałam mieć specjalną predyspozycję do tego rodzaju kataklizmu, będąc zawsze skłonna do prób, do odkryć, do badań, wiedziona nadzieją, że pozory nie określają wcale prawdy, lecz tylko wskazują na jej kryjówkę. Tak było zawsze i tak było także i w tym wypadku.

NIEPRZYJACIELE SĄ LUDŹMI

Już oddawna taiłam głęboko podejrzenie, że nieprzyjaciele nasi, zaborcy, są ludźmi!... Podejrzenie takie musiało się pojawić, bowiem odkryłam, choć przypadkowo i nie odrazu, że rodzili się oni i umierali zupełnie jak my. Dostrzegłam też, że ojcowie ich i matki kochali ich i pisali do nich długie listy, że ciotki ich, stare panny, podobne do naszych, nosiły śmieszne, małe czepeczki i długie czarne mitenki. Zarówno Niemcy jak i Moskale ciotki takie mieli, to był fakt stwierdzony i bezsporny. Czy może wynalazca urwać w środku wynalazku? Nigdy. Skoro tylko przekonałam się, że zaborcy byli ludźmi, natychmiast zaczęła mi świtać myśl — że podobnie do innych ludzi mogliby zasługiwać na to, aby ich kochano.

Wiadomo ogólnie, że niema w tem nic dziwnego, jeśli przyjaciel godny jest miłości; tak być powinno, tak jest bezwątpienia, tak, że niema o czem gadać. Ale jeśli na miłość zasługuje wróg, to to jest cud, dziwowisko, wielki dar. Jest to tak wielki cud i tak wielki dar — jak powrót syna marnotrawnego do domu ojca. A ostatecznie niema żadnego przykazania, któreby uczyłoby kochać przyjaciół, podczas gdy specjalnie każą nam miłować naszych nieprzyjaciół. Muszą więc być godni kochania, inaczej coś jest nie w porządku w Zakonie!

WIELKA WOJNA

W tem miejscu moich przeżyć wybuchła Wielka Wojna. Nic mi na tem nie zależy, by wspominać jej okropności, ale muszę tu zaznaczyć, w jak dziwnem położeniu znalazłem się w tym okresie. Nikt dzisiaj o tem nie myśli na świecie, a i wówczas mało kto o tem wiedział, że w czasie wojny Polacy służyli w obu walczących armjach, Niemiecko-Austrjackiej i Rosyjskiej. To było przekleństwo niewoli, żołnierze nasi nie mieli wyboru, musieli się zaciągnąć, bić się i umierać za sprawę, która nie wydawała się być ich sprawą.

W najcięższym momencie wojny znalazłam się jako siostra miłosierdzia przy wojsku rosyjskiem, w szpitalu przeznaczonym dla rannych niemieckich. Jeśli chodzi o badanie zjawisk, o życie jako wędrówkę eksperymentalną, to była to najdziwaczniejsza wycieczka odkrywcza, jaką można sobie wyobrazić. Jeden nieprzyjaciel obalił drugiego, a ja stałam pomiędzy nimi, obca i wroga obu, usiłując nieść pomoc.

Nie chcę męczyć Państwa żadnemi niepocieszającemi szczegółami ,chcę tylko podkreślić głębokie człowieczeństwo tej sytuacji. Pamiętam, jak jeszcze Ante (pochodzący z prowincyj Nadreńskich, rana głowy, jedna ręka amputowana) cisnął słomianą poduszką w żołnierza trzymającego straż, ponieważ ten stawiał lampkę tak, aby świeciła rannemu w oczy. Pamiętam wściekłość straży i łagodzenie gniewu papierosami, aż nastąpiło dobroduszne machnięcie ręką. A był jeszcze jeniec Huber, który zażądał, abym mu poobcinała paznokcie u rąk i nóg. „Matka mi je zawsze obcinała w domu“, wyjaśnił zgorszonym kolegom. A był także taki, który mi powiedział: „Siostro, na naszej sali nazywamy panią wszyscy Mutter“... Nie było cienia wątpliwości... To byli ci sami nieprzyjaciele. Mówili znienawidzonym językiem, czuli żarliwą pogardę — mimo że byli bezsilni i bezradni — dla całego otoczenia. Ale niepodobna było oprzeć się oczom, z których szedł krzyk o współczucie i opiekę... Nie można było nic poradzić, byli niewątpliwie godni — potrzebowali żeby ich kochać.

Tyle wycierpiałam poprostu dlatego, że oni męczyli się przy mnie nieludzko, tyle niespanych nocy spędziłam równolegle do ich nocy ostatnich, tyle musiałam znieść szykan i tyle obejść przepisów, byle ich od szykan i od przepisów obronić — że odtąd w jakiś szczególny sposób jakby „spokrewniłam“ się z nimi... Taką bowiem jest nieprzyjaźń. Jakoś nie czuło się potrzeby żadnych przeprosin, które są konieczne, kiedy przyjaciele poróżnią się a potem pojednają... Wiedzieli, że jestem Polka, więc zwracali się do mnie z całą swobodą: byłam bowiem dawnym „odwiecznym“ wrogiem, w odróżnieniu od Rosjan, nieprzyjaciół całkiem świeżych... Ufali mi bez zastrzeżeń i uważali moją opiekę za coś całkiem naturalnego... Przecież nienawidziliśmy się dość długo na to, by to szczególne braterstwo, jakie sprowadza ze sobą wrogość, mogło nam zastąpić przyjaźń i być conajmniej jak ona niezawodne.

A kiedy później znalazłam się w oddziale lotnym i z armją rosyjską cofałam się wgłąb kraju, nocując po ziemiankach, spalonych wsiach i namiotach targanych przez niepogodę, znowu bezbrzeżna litość ogarnęła mię, poszarpała serce i zostawiła je otwarte dla wszystkich wichrów i dla wszystkich nieprzyjaciół. Jak ta szara masa była cierpliwa, jak pełna rezygnacji... Nie zapomnę nigdy, jak ci rosyjscy żołnierze łatwo i promiennie umieli się uśmiechać, z jaką odwagą szli na śmierć, prowadzeni przez dowódców, którym nie ufali i których nie rozumieli!... Dziś, kiedy czytam o strasznej doli Rosji, widzę tych, których znałam w ich wzniosłej dzikości, wesołych i łakomych jak dzieci, to bezwolnych i żałosnych jak nieme zwierzęta... Opatrywałam rany ich pod bezlitosnem i słotnem niebem, myłam ich trupy nocami, oświetlonemi jedynie poświatą rakiet i półślepych latarń. Wypłakałam oczy nad ich dolą, na którą nic nie umiałam poradzić... Jeśli dzisiaj są bolszewikami, to podejrzewam mocno, że jednak pozostali ludźmi... Kto wie, czy nawet dziś nie są godni miłości!?

CZŁOWIECZEŃSTWO

I otośmy się zabłąkali wspośród gorzkich niepłodnych pól... Tyle chwastów i cierni zastępowało nam drogę, żeśmy wyszli w łachmanach — Panie i Panowie — nie można tego inaczej określić. Czy gawęda niniejsza doprawadziła nas do konkretnych wyników? Czy udało mi się odmalować obraz doskonały i kompletny? Obawiam się, że nie. A jeśli się dobrze zastanowię, to okaże się, że naplątałam beznadziejnie, naplątałam tak, że niewiadomo gdzie kończy się przyjaźń, a zaczyna nienawiść, niewiadomo czy wogóle miłość i nienawiść dadzą się rozwikłać... Upiory, służba, złe psy, fałszywe koty, wrogowie rodu, bandyci i zbóje, źli sąsiedzi i obcy najeźdźcy — wszystko to przedefilowało przed nami i—nic nam nie wyjaśniło. Jedną tylko wiele z tych zjaw miało cechę wspólną, jedną rzecz wzruszającą i dźwięczącą wyraźnie — to człowieczeństwo. To jedno nie zawodzi, tego jednego można się trzymać...

Przy tej okazji chciałabym słów parę zwrócić do tych spomiędzy moich słuchaczy, którzy są przypadkowo nieprzyjaciółmi mego narodu, a więc i moimi. Tylko ci, którzy nie robią nic zgoła, nie popełniają, też nigdy nic złego. Wiem, że są tacy, którzy nas bardzo nie lubią i jestem pewna, że nie lubią nas uczciwie i mają do tego poważne powody, a ze swego punktu widzenia — przyznać to jestem gotowa — mogą mieć zupełną słuszność. Czy mogę prosić ich o jedną łaskę. Niech zechcą w chwilach, kiedy opuszcza ich zmęczona nienawiść, kiedy urazy są jakby zamglone — niech w chwilach tych zechcą poszukać w nas człowieczeństwa. Niech się przyznają, na mgnienie oka przynajmniej, do pokrewieństwa, do zbliżenia z nami, choćby tylko przez nieprzyjaźń, jeśli przez przyjaźń nie potrafią... Pokrewieństwo, to jest już coś tak blizkiego do braterstwa... Spróbujcie spojrzeć na mnie, posłuchać mnie i nie odmówcie przynajmniej mnie, na początek, tej jednej cechy, którą można pokochać, człowieczeństwa.

STARA PRZYPOWIEŚĆ

Daliście Państwo dowód dużej cierpliwości, słuchając tego jąkania i błąkania się na temat stary jak świat, temat ujęty w przepizy przez tyle filozofij i tyle religij, temat, na którym mądrość wielu wieków połamała i dotąd łamie żelazne zęby swych systematów. Mój dorobek tak skromnie się przedstawia, że stokroć bardziej godną uwagi wydaje się stara przypowieść, krótka i piękna. Oto ona:

„Szedł raz podróżny w noc ciemną i mglistą. Po obu stronach drogi grunt był niepewny, pełen wyrw i trzęsawisk, tak że nie można było nigdzie zboczyć pod grozą śmierci. Nagle idący dostrzegł ponad mgłą, która na chwilę opadła, z bardzo jeszcze daleka, wielki kształt podążający ku niemu po tej samej drodze. Przeraził się bardzo, bowiem sądził że jakiś zwierz dziki zwęszył go i bieży ku niemu, by go pożreć. Ponieważ jednak nie miał, gdzie się skryć ani dokąd zboczyć, uciekać zaś wstecz byłoby daremne wobec szybkiego zbliżania się nieznanego kształtu — postanowił iść dalej, acz z wielkim strachem.

Ze wzgórka, na który wspięła się droga, znów dojrzał szmat szlaku, a na nim już nie zwierza, jak był mniemał, lecz olbrzyma. Przeraził się wówczas jeszcze bardziej, bo teraz jedyną jego nadzieją było ukrycie się u brzegu drogi, tak aby być jaknajmniej widzialnym, a to ukrycie się było prawie niepodobieństwem... Szedł więc podróżny wahając się i był właśnie w dolinie, gdy spostrzegł nareszcie wyraźniej nieznajomego na szczycie pagórka i zobaczył, że nie był to olbrzym, lecz człowiek zwyczajnego wzrostu, tyle że uzbrojony od stóp do głów. Broń jego — łuk i strzały, a także gruba maczuga, sterczały dokoła jego postaci, nadając mu groźny wygląd. „Zbójca“, pomyślał podróżny z rozpaczą, „no teraz to już śmierć bliska“. I wyciągnąwszy zza cholewy długi nóż, przygotował się do beznadziejnej walki.

Powiał wiatr, mgła ustała, księżyc ukazał się i oświecił drogę, a przy tem świetle podróżny poznał kształt, który spostrzegł był od tak długiej chwili i którego tak bardzo się lękał. Nie był to ani zwierz, ani olbrzym, ani leśny zbójca. Ten straszliwy Nieznajomy to był własny brat podróżnego“.

KONIEC

Jan Bajkowski

Sztuka zetatyzowana

Glinka napisał „Życie za cara", Prusak pisze „Życie za czerwony Leningrad". Tagliapietra komponuje poemat symfoniczny, apoteozujący marsz Mussoliniego na Rzym.

Na wystawie fotografji sowieckiej przypominamy sobie, że to już widzieliśmy. Gdzie? Na dziesiątkach filmów Pudowkina, Aleksandorowa, Simonowa, Dowżenki.

Na wystawie grafiki sowieckiej wrażenie takie samo, malarstwa — takie samo, rzeźby — takie samo. Wszystko to przecież jest niczem innem, jak jednym wielkim plakatem, wyrosłym na podłożu propagandy, opracowywanej na zimno, planowo, systematycznie przez ludzi niejednokrotnie dalekich od jakiejkolwiek sztuki.

Trudno mieć coś przeciwko plakatowi. Uważam go nawet za symbol nowego okresu w sztuce, kiedy to nagle wylazła ona ze złoconych ram rozmaitego rodzaju salonów, by w najdrobniejszych szczegółach tysiącznych przedmiotów dnia codziennego dotrzeć wszędzie. Wcale się nie obniżyły poziomy szkół plastycznych z chwilą wprowadzenia do nich nauki grafiki użytkowej. Stanowczo natomiast należy sprzeciwić się temu, ażeby sztukę redukować jedynie do formy plakatu a źródło twórczości oddawać kanceliście w takim czy innym stopniu służbowym. Zwłaszcza, że nawet z punktu widzenia formy, poczynają wychodzić dziwolągi. Plakat musi mieć swój wyraz i nie znosi wprowadzania obcych mu elementów, a różne „naciągania" uderzają poprostu w jego sens, siłę jego wymowy.

Przykład? Zdecydowano się u nas wreszcie na „ideę państwową". Rzucono więc zaraz potem hasło „sztuki państwowej". W plastyce to jeszcze jakoś poszło: maluje się portrety „przy orderach" na tle kotary z frendzlami. W muzyce mniej się już udało, nawet mocno utalentowanemu Maklakiewiczowi. Mimo to próby są ponawiane. inicjatywa nie ustaje. Taka p. Woycik-Keuprulian domaga się donośnym (bo przez radjo), głosem, powołania do życia (czem? dekretem?) „odrębnej, celowo tworzonej i kultywowanej gałęzi muzyki", która ma służyć do „uświadamiania młodzieży i społeczeństwa o wielkości dokonywanych czynów państwowotwórczych" i wyraża żal spowodu dotychczasowego braku wpływu państwa „na moralną wartość sztuki". Bo i rzeczywiście — czy nie możnaby z m u s i ć Szymanowskiego do napisania chociażby jednej „wiązanki", przeplatanej znanym motywem?

Dochodzi się już do prawdziwych śmieszności. Nie zdziwi nas przecież, gdy pewnego dnia ujrzymy artykuł pod takim np. tytułem: „François Villon jako piewca egzekucji państwowej" (na podstawie ballady wisielców). Przybyszewski (Bolesław) pisze, że „muzykologja sowiecka stawia sobie jako podstawowe zadanie zbudowanie nowej teorji muzycznej na podstawie metodologji marxowskiej (!)", to dlaczegoby gdzieindziej nie można było podobnie?...

Już dzisiaj przecież jesteśmy w takiem stadjum, chociaż przyczyny tego wszystkiego nie idą wyłącznie od strony zewnętrznej.

Czyście bowiem słyszeli kiedy owe lekceważące uwagi rzucane przez ludzi z boku pod adresem artystów, co to „nic nie robią czekając na natchnienie"? Artysta współczesny sam już wprawdzie w natchnienie nie wierzy, ale nie wyprowadza otoczenia z błędu. Przecież to wygodniej być wobec kogoś usprawiedliwionym. Ktoby się jednak spodziewał, że we łbie troją mu się różne genjalne pomysły wielkich planowych gospodarstw, zapewniających mu beztroskie życie, chociażby za cenę... pracy. Siebie uważa za wykwit życia i jego luksus. Wymyślił nawet, zresztą konsekwentnie, prawo do pieczołowitości. Toteż chętnie deklamuje słowem „państwo", zwłaszcza w jego przypadkach: subsydja, subwencje i t. d., które naturalnie są lekarstwem na wszystkie dolegliwości. Nie zastanawia się tylko nad tem, czy ma do czynienia z mecenatem, czy monopolem. Pohopnie ofiarowuje swoje usługi dające mu możność wykpienia się od trudności życiowych, chociażby kosztem dosłownego zejścia na kpy ze swojej indywidualnej pozycji. Oferty bywają czasami zupełnie konkretne: „Tyle i tyle, za to i za to". Państwo je przegląda tak, jak i inne, na mundury, buty, konserwy, owies, siano... „Zawodowymi lirykami" nazwał ich Goetel mówiąc, że „w fachu naszym zdobywa się miarodajne stanowisko i laury, prze biwszy się dopiero przez życie. To znaczy, że się pisze i tworzy pomimo wszystko a nie z pomocą wszystkiego".

Charakter więc całej sprawy jest wyraźny.

Przybył do Warszawy Marinetti. Z młodzieńczym zapałem ożywiał swoje zastarzałe wspomnienia futurystyczne. Ludziom się to tak podobało, jak kolorowe zabawki. Niektórzy coprawda wzięli je zupełnie serjo za bojowy odcinek, nie zdając sobie sprawy, że mają do czynienia z kapitulacją na rzecz banalnego haftu akademickiego fraka, nie kuszącą się nawet na zmianę wzoru wyszycia. Bo tylko sobie wyobraźmy: Marinetti w stroju skomponowanym przez swoich przyjaciół! Byłoby może śmieszne? Nie, przedewszystkiem s z c z e r e, o tyle naturalne, o ile szczerą była jego twórczość. Ale — poeta ofiarował swoją sztukę faszyzmowi. Czy przez zespolenie z ideą, którą faszyzm reprezentował? Tranzakcja robi wrażenie czysto zewnętrzne: możność przybijania wymyślnych rysunków na kolumnach odnowionego portu ostyjskiego, możność dalszego i... ciągłego wygłaszania swoich utworów wzamian za fotel akademika.

Gdy w Warszawie, oblepiony zachwyconem (jakżeby mogło być inaczej!) audytorjum słuchał jego żalów na państwo, które jakoby za mało łoży na sztukę, odpalił z miejsca: „A wy czy dużo państwu dajecie?" Na co mógł otrzymać odpowiedź: „A czego od nas państwo żąda?".

Pozornie powtarzam, i na początek bardzo mało, bo — lojalności. Przyszła mi w tej chwili na myśl bursa studentów Akademji Sztuk Pięknych na Placu Trzech Krzyży. Dwa niewielkie, ciasne pokoje. Stół, jakaś szafa, szereg łóżek. Na ścianie jednak napis: „Sztuka dla państwa!". Zdawałoby się, że wzamian za ten nędzny kąt, żądało ono tylko umieszczenia frazesu. Bo przecież....

...w bursie mieszkał jeden z najzdolniejszych literników, który mógłby opracować naprawdę ładny napis, nie taki jak ten odbity zapomocą zwykłego szablonu. W bursie mieszkało paru nieźle się zapowiadających kolorystów, a przecież napis namalowany był zwykłą, ordynarną, niebieską farbką. W bursie mieszkało tylu umiejących przyrządzać rozmaite grunty, a przecież farba napisu poczęła szybko odpryskiwać od ściany. To wszystko musiało zastanowić. Jakto — czy takie słowa nikogo nic nie obchodzą? Czy wymagają jedynie cichego, niemówionego braku sprzeciwu ze strony mieszkających? To strasznie mało, jak na tak duże słowa, a jednocześnie to — strasznie dużo. Bo jest w tem coś z rezygnacji.

Przyczyna?. Uniwersalizm idei państwowej. Spójrzmy — panuje ona wszędzie. Czy tam gdzie za nią stoi naród (we Włoszech), czy doktryna (Rosja), czy ani jedno, ani drugie (gdzieindziej). Będąc stworzoną na użytek s y s t e m u, każe w nim czcić co innego. Narzuca się wszystkim i wścibia się wszędzie, tam nawet gdzie nie powinna, bo z natury rzeczy nie może. Jest jednym przejawem wielkiego procesu etatyzacji, mechanizującej życie. Stąd zamiast entuzjazmu — rezygnacja. Przykra, zastraszająca rezygnacja.

A przecież... jakże się jednocześnie dobrze rozumie owo ogromne bolesne zadziwienie Żeromskiego, pytające, dlaczego fakt odbudowania państwa nie odbił się w sztuce reakcją, godną tego wydarzenia. Jakżeby się chciało wziąć udział w tej w i e l k i e j, s z c z e r e j pracy nad zbieraniem bogactw języka polskiego, której miał dokonać zbiorowy wysiłek całego narodu. Ogólny zarys został rzucony w „Snobizmie i postępie". Jeszcze jeden szklany dom? Ktoś lękliwym głosem powie, że to wszystko jest nieporozumienie, żeby ciszej i że to właśnie postęp... Nieprawda. Niema nieporozumienia, niema żadnego postępu, niema nawet i snobizmu. A przedewszystkiem — odwagi.

Andrzej Mikułowski

W obronie maszyny

Dwa lata temu jechałem wielkim ekspresem angielskim z Londynu do Kornwalji. Potężna maszyna z przeciętną szybkością stu kilometrów na godzinę przebiegała przestrzeń. Po swojskich naszych „kurjerach", zatrzymujących się w byle Pipidówce, podróż ta, jak pamiętam, zrobiła na mnie duże wrażenie. Kontrast spokoju, w jakim spożywałem lunch siedząc wygodnie przy stole i wielkiej szybkości, z jaką ogromna masa żelaza parła naprzód lekko i równo, a z taką siłą i pędem, wzbudził szereg refleksyj i uczuć. Nie jestem poetą, nie jestem nawet skłonny do poetyzowania, a przecież upajałem się poczuciem swojej potęgi wobec przestrzeni, uczuciem radości z tego żywiołowego, a jednak tak regularnego, opanowanego dążenia naprzód, coraz prędzej, coraz prędzej...

I kiedy przeczytałem artykuł p. Gralewskiego o lokomotywie i gościńcu w poprzednim „Dodatku", przypomniała mi się ta impresja sprzed dwóch lat i zrobiło mi się trochę nieswojo. Miałżebym poddawać się sentymentalizmowi, czyżby moje wzruszenie było nieszczere? Z tej krótkiej chwili niepewności wyrwało mnie drugie wspomnienie — wizja Gdyni, jako wielkiego portu, ukazana przez Żeromskiego w „Wietrze od morza":

„Tam, gdzie teraz wałęsają się w malarycznym oparze białe, lub łaciate kozy, uwiązane na postronkach..., gdzie beznadziejnie i bezskutecznie wielkiem zbiorowem gęganiem gęgają siodłate gęsi, biadając wśród kup bezuczuciowego torfu na swą deportację w te jałowe pseudo - trawy — zaświszczą sygnały i syreny setek kotłów, bić będą w niebogłosy, jak w Southampton, tysiące młotów, warczeć będą maszyny, śpiewać będą pracownicy, przygotowywać się do podróży wokół globu ziemskiego polskie okręty i polscy marynarze... Wokół bulwarów staną olbrzymie hale, warsztaty, windy, przedziwne kształty stoczni i magazynów, biura, domy, baraki, hotele. Rozłożą się pod górami Oksywia w wewnętrznym porcie Polski szeregi grubych kominów okrętów wojennych, z ich wieżami i blockhauzami, z paszczami armat i złowieszczem łożyskiem straszliwej torpedy..."

„Ten niewysłowionej piękności poemat, tworzony w drzewie, kamieniu, betonie i żelazie, — ten przepotężny dramat, ukazujący wydzieranie morzu jego wód, siły, głębi i władzy,—ta wspaniała powieść o rozdarcia ramieniem człowieka dziejów ziemi i lśniącego ze stulecia na stulecie jej rozwoju, aby go w ciągu krótkich lat przekształcić na narzędzie własne ,posłuszne woli, jak wół, koń i pies — to nowe, w polskiej lądowej duszy zatoczone dzieło, stawało się w oczach, z dnia na dzień ukazywało swe strofy nieznane".

Ten entuzjastyczny hymn na cześć potęgi człowieka, szczery i spontaniczny, z głębi serca płynący, nie był głosem odosobnionym. Zachwyt Wells'a, który na wizji maszyny buduje wizję świata przyszłego, świata szczęśliwości, postaci Ochockiego i Geista w „Lalce" Prusa, to owoce wzruszeń szczerych. Poezja maszyny w wieku dziewiętnastym, podziw człowieka dla maszyny, jako wyrazu swej potęgi, pokonanie choćby na chwilę gniotącego, upokarzającego poczucia nicości wobec potęgi sił przyrody, wobec ogromu wszechrzeczy — to poezja równie szczera, jak każda inna prawdziwa poezja. Epoka odkryć i postępu technicznego, która nie przeczuwała jeszcze załamania, sprowadzonego przez ów postęp, musiała dać wyraz uczuciom człowieka, który poczuł się panem przyrody, lub wierzył, że nim się wkrótce stanie, bo znalazł klucz do zwycięstwa.

Jednakże ta poezja maszyny nie jest poezją współczesną. Rewolucja maszyn dawno się skończyła. Rewolucjonista, chodzący po ulicach w parę lat po rewolucji, jest zwykłym człowiekiem. Maszyna przestała być symbolem panowania i władzy nad przyrodą, uzyskała inne znaczenie. Doświadczeniem współczesności jest gorzkie zdanie sobie sprawy z faktu, że ludzkość zachłysnęła się swym zachwytem dla własnej potęgi a przyroda, powalona zda się i gotowa do posłuszeństwa i uległości, wywinęła się z chwytu i ukazała nowe, szydercze oblicze. Jest to gorzkie poczucie konieczności cofnięcia się z placówki, która jest nie do obrony. Ludzkość wybudowała sobie skrzydła, na których wzniosła się do wielkich wyżyn, aż do stratosfery. Lecz w tym zwycięskim, triumfalnym locie nagle zdała sobie sprawę, że znajduje się w próżni, że niema czem oddychać, i trzeba powracać na ziemię, bo braknąć zaczyna powietrza, nawet tego, którego zapas jeszcze z ziemi zabrano. Największą troską naszą jest, aby spadać dostatecznie wolno i spadając nie rozbić sobie głowy.

To jest doświadczenie współczesności. I dlatego nie jest poezją, gdy jakiś młodzieniaszek, przejęty swą misją „współczesności" pisze „Hymn do Łodzi":

„Tętnij pracą, polski Manchesterze!"
Niewolniczy powetuj bezczyn —
Żyj, potężnij, twórczy olbrzymie!
Węgiel łykaj i kąp się w dymie,
Otchłań brzucha towarem napełniaj!
Napręż mięśnie z betonu i cegły,
Ostrz pazury — metale,
Nastrosz włosy swe — włókna!
Chórem syren tysięcznych zawrzaśnij
Wyrżnij w cielska leniwych maszyn —
— Nie załamią się w pędzie! —*)

Jakże pusto brzmią te słowa. Maszyny załamały się w pędzie i stoją. Zatrzymały się nie same, ale kazał im stanąć ten sam człowiek, który w ruch je wprowadził. Maszyna wdzierać się poczęła wszędzie, huczeć w mózgu, odbierać człowiekowi pracę, miażdżyć go w swych trybach, a ze wszech stron sypią się na nią wyroki śmierci. W ogólnem wołaniu o swobodę i uwolnienie człowieka z jarzma maszyny nagle przebija się przez wrzawę głos „współczesnego" poety, lub poety-futurysty, czyli „poety przyszłości", śpiewającego hymny do maszyn. O pięćdziesiąt lat za późno. Ten głos przeszłości brzmi tragicznie w uszach teraźniejszości; toteż słabnie i prawie go już nie słychać. Coraz głośniej rozlega się głos buntu przeciw maszynie.

A przecież i ten głos jest często głosem pustym. Musimy cierpieć za grzechy ojców, musimy przyjąć ich spuściznę, — starać się wyciągnąć z niej korzyść. Maszyna wdarła się przemocą w nasze otoczenie, stanowi jego część organiczną. Zamiast więc izolowania, przychodzi zasymilowanie. Właściwie przecież współżycie człowieka z maszyną jest stare, jak cywilizacja: maszynami były i owe powozy, któremi nasi przodkowie jeździli po gościńcach, maszynami okręty Kolumba i maszyną arka Noego. Epoka obecna jest jedynie epoką inwazji maszyny na człowieka i wiele z tej inwazji nie da się już cofnąć. Nie powrócimy do gościńców i do maszyn starego typu — pługów drewnianych i wozów, zaprzężonych w konie. Musimy się zapoznać z rzeczami, na których towarzystwo jesteśmy skazani.

I na tem tle powstaje nowa poezja maszyny, maszyny żywej, nie maszyny-narzędzia, ale maszyny-towarzysza, czy wroga, nowej potęgi niezawsze od nas zależnej, z którą należy walczyć, by ją opanować. Maszyna z narzędzia do panowania nad żywiołami, stała się niemal nowym żywiołem. Zaczyna więc zmieniać się w naszych oczach, nabierać cech życia, życia swoistego, niezależnego. Nowele St. Grabińskiego „Demon ruchu", czy nowele (te niektóre, które są naprawdę nowelami) J. Meissnera, to nowe spojrzenie na maszynę — rzecz ożywioną i wyzwoloną. Tem, czem dla Józefa Conrada był okręt, pomocnik i towarzysz w walce z żywiołem, z ogromem wszechrzeczy, ale towarzysz często kapryśny, pomocnik niesforny, nieposłuszny, posiadający własne, indywidualne życie, tem dla Grabińskiego i Meissnera staje się lokomotywa, czy pociąg i aeroplan. Pojawiają się nawet pociągi-widma i samoloty-upiory, a więc duchy istot żywych. Maszyna zaczyna tętnić życiem, a dzieje się to dlatego, że weszła w ognisko życia żywego człowieka.

I tego miejsca nikt jej już wydrzeć nie zdoła. I nikt też nie zdoła zaprzeczyć istnienia poezji maszyny. Nie jest to już jednak poezja rewolucyjna, futurystyczna, ale poezja stara jak świat. Podziw człowieka współczesnego dla nowej maszyny płynie z tego samego źródła, co podziw dla piramidy Cheopsa — obie są zadziwiającemi dziełami ręki ludzkiej. Tylko to współczesne mniej nam imponuje. Bo zżyliśmy się już z maszyną.

---

*) Eugenjusz Żytomirski: „Bez w samolocie", Warszawa, 1933. Wyd. „Kadry".

Alfred Jesionowski

Temat romantyczny

Zabawka literacka — ćwiczenie stylistyczne (w dodatku nie najlepiej udane), praca magisterska z germanistyki w formie powieści — oto wrażenie pierwsze, jakie się odnosi z lektury powieści p. Idalji Badowskiej.*)

Odwykliśmy zupełnie od podobnych powieści, a w literaturze polskiej nie wiele takich znajdzie. Romantyzm w roku1934? Jesteśmy przecież ludźmi „nowej rzeczowości". Tłumaczymy skwapliwie wszystko, co w tej dziedzinie zagranicą wychodzi. (Reportaż! Faktomontaż! Reportaż!). Wątpię natomiast, czy przeciętnemu czytelnikowi polskiemu coś mówi nazwisko Lilli Braun (Im Schatten des Titanen) lub Heleny Böhlau (Sommerseele) — a te dwa nazwiska obok szeregu innych narzucają się wspomnieniem przy lekturze powieści p. Badowskiej.

Niemcom temat ten: Weimar - Goethe — romantyzm niemiecki zawsze był bardzo bliski, nietylko przez wzgląd na Goethego — a przedewszystkiem ze względu na pierwiastek sentymentalny tkwiący w romantyźmie niemieckim. Möricke, Novalis, Eichendorff są dziś w Niemczech, w sferach kulturalnych równie potrzebni, jak 20 — 30 — 50 lat temu.

Czytając powieść p. Badowskiej, (styl zawiera podobnie, jak i język sporo germanizmów, tak, że chwilami ma się wręcz wrażenie, jakby powieść tłumaczona była przez drugorzędną tłumaczkę z niemieckiego) odczuwa się, że napisana jest pod wpływem studjów nad romantyzmem niemieckim.

Ale bądźmy sprawiedliwi — to nie tylko studjum literackie, próba stylu romantycznego. Autorka odczuła potrzebę czytelnika współczesnych powieści oderwania się od rzeczywistości, ucieczki w epokę idealizmu, myśli filozoficznej, sentymentu. Intencja była jaknajlepsza — i kto wie, czyby zamysł autorki się nie był udał w pełni, gdyby posiadała poza kulturą literacką także trochę talentu powieściopisarskiego, dobrą znajomość języka polskiego. (Wysokopienny tłum? — Kucharować? —życie marzyć? — życie żyć?). Książka w swem założeniu jest o tyle sympatyczna, że wielu ludziom się „rzeczowość" mocno sprzykrzyła, że odczuwa się coraz bardziej pewien nawrót do „romantyzmu". — P. Badowska dała w pewnej mierze wyraz tej tęsknocie:

Prowadzi nas na zamek bawarski, zamek jakby wyjęty z jakiejś powieści Eichendorffa. Bohater, hrabia von Gallen, żyje tu z młodziutką swą żoną Leoną. Ma wielkie aspiracje poetyckie — za ciasno mu w tym romantycznym zamku, nie wystarcza mu urocza żona, uosobienie poezji. Tęskni do Weimeru, królestwa pięknoduchów, pragnie tworzyć w cieniu Tytana. Wyjazd umożliwia sprzedaż klejnotów żony, która bez pamięci zakochana w mężu tylko jego szczęścia pragnie. Weimar nie wydobywa z Gallena poety ani nie zbliża go do żony. Nie stara się jej zrozumieć, nie zdaje sobie sprawy z tego, jaki skarb w niej posiada. Opętany jest ambicją zostania wielkim poetą — i tylko tą ambicją. Robiąc tę ambicję osią powieści — chciała autorka wypowiedzieć swe poglądy na temat prawdziwej twórczości.

„Talent to jeszcze nie wszystko. Trzeba, żeby pozatem stał prawdziwy człowiek, charakter, osobowość, dusza brzemienna w prawdę...."

„Nie przez okulary książek powinien artysta patrzeć na świat, bo i duch czasu, to głupstwo w rzeczach tworzenia i indywidualizm, wierzący, że może żyć tylko sobą i tylko dla siebie, tak samo głupstwo."

„...żeby umieć powiedzieć ludziom, to co w danej chwili jest najbardziej potrzebne, trzeba ich kochać".

Takie i tym podobne, dobrze znane prawdy wypowiada autorka na temat twórczości. Zrobiła Gallena poetą miernym — dla tego obdarzyła go oschłością, egoizmem — przeciwstawiając mu Szwajcara Rahna, prawdziwego artystę, choć nigdy nic nie stworzył.

Leona, przekonawszy się, że męża nie zdobędzie dla siebie, że mąż męczy się świadomością swej bezsilności twórczej, popełnia samobójstwo, aby wstrząsnąć mężem, dać mu wielkie przeżycie, uczynić zeń przez to poetę. Istotnie „Elegja na śmierć żony" zdobywa mu rozgłos szeroki.

Autorka wczuła się dobrze w ducha romantyzmu niemieckiego, choć naśladownictwo formy rom. nie zawsze się udało. Mniej przekonywująco wypadła atmosfera z Weimaru, mimo że mnóstwo szczegółów, wziętych jest z trylogji. Portret p. Stein, dawniejszej przyjaciółki Goethego, obecnie zdystansowanej przez pannę Vulpius wypadł zgodnie z rzeczywistością. Kreśląc sylwetkę p. Vulpius, wiernej towarzyszki a później i małżonki Goethego, powtarza autorka zgodnie z prawdą plotek, jakie w highlife'ie wajmarskim krążyły na temat jej romantycznej i miłej osoby. Goethe sam pozostaje w cieniu — rzucając cień. Widzimy tylko Geheimrata, niedostępnego, wyniosłego, kapryśnego — nie poznajemy Goethego twórcy, ani Goethego popularnego, tak jak go właśnie wskrzesiły wspomniane wyżej autorki niemieckie. P. Badowskiej Goethe pozostał zupełnie obcy.

W gruncie więc polski czytelnik nie odniesie właściwego wyobrażenia o Weimarze i ludziach tam żyjących w roku 1806.

Znaczną część powieści zajmują dyskusje repetytorjum teoryj romantycznych i myśli filozoficznych romantyków.

Mimo tak licznych braków niepotrzebą, jak odżywianie się; podociągnięć, momentów wręcz chybionych w tej powieści romantycznej o romantyzmie — czyta ją się z sympatją. Pociąga ten świat nastrojony na nutę idealistyczną, świat. dla którego dyskusje poważne są podobną potrzebą, jak odżywianie się; pociąga jasna, eteryczna postać Leony i zacnego Rahna — ludzi niedzisiejszych, dlatego właśnie, że reprezentują świat tak odrębny od dzisiejszego. Ucieczka od rzeczywistości do atmosfery idealizmu, sentymentu, bezkompromisowej miłości — pociągnie niejednego czytelnika.

---

*) Idalja Badowska: „Poeta i Mniszka" — Warszawa, 1934. Tow. Wyd. „Rój". Nowa Serja. Str. 213+10 nlb.

L. Całkosińska

Głos nienawiści społecznej

Dziwnemi drogami chadzają natchnienia ludzkie!

Julien Green, zlatynizowany Amerykanin, opowiada w wywiadzie dziennikarskim o notatce z rubryki wypadków: Młody student postrzelił się w zamiarze samobójczym; dowlokłszy się do umywalni, obmył twarz i ręce położył się na łóżku i umarł. Ta czystość w obliczu śmierci, skrupulatność fizyczna wobec zagadnienia bytu, zafrapowała na tyle Greena, iż dał jej wyraz w powieści: „Le Visionnaire“.

Problem czystości i śmierci? Czy aby naprawdę? Bohater powieści Manuel opowiada wespół z kuzynką, Marie Therise, historję swego życia. Brzydki, wątły, wcześnie osierocony, nie zaznał nigdy szczęścia, ani przyjaźni. Od dzieciństwa pracuje w prowincjonalnej czytelni. Chlebodawca prześladuje go, ciotka Plasse, jedyna opiekunka, dręczy go uczuciami miłości i urazy do syna kochanego ongiś mężczyzny. Kuzynka Marie Therèse młodziutka i naiwna, nie zdaje sobie sprawy z namiętnej miłości Manuela. Chorobliwa czystość i chorobliwa namiętność ściągają nań potępienie mieszkańców pobożnego miasteczka. Manuel zapada na zdrowiu i dowiaduje się, że niema dla niego ratunku; musi umrzeć.

Obowiązek, miłość rozwiewają się — pozostaje jeden centralny punkt: Manuel wobec zagadnienia bytu. Pielęgnowany przez ciotkę, która odnajduje quasi - macierzyńskie uczucie do siostrzeńca i walczy o zbawienie jego duszy; oddala się od kościoła, przypisując mu swe niepowodzenia życiowe.

„Mniej mnie obchodzi, czy Bóg istnieje — mówi — od faktu czy przeżyję jeszcze tę noc“. I gdy ciotka czyta na głos pobożne dzieła, Manuel wznawia dziecinną „zabawę w zamek“. Ongiś — sądziedztwo ruin opuszczonego zamku skłoniło go do zaludnienia go tworami wyobraźni. Teraz powraca do tej gry, opowiadając o niej w rozdziale zatytułowanym: „O tem, co mogłoby być“. To bardzo znamienny i godny uwagi rozdział. Nietylko ze względu na wybitną - fantazję autora i nastrój godny Poego, niekiedy wręcz odpychający i nie z uwagi na wzrokowe wrażenia, podobne do tych, jakie wywołują ponure wizje niedostępnych zamków i wąwozów Dore'go, lecz przedewszystkiem dzięki „transplantacji“ wrażeń.

Cały maleńki, ubogi światek Manuela, wraz z jedynym punktem centralnym: Manuelem w obliczu bytu, rozrasta się tu — niczem storczyki na podatnym gruncie — do monstrualnych wręcz rozmiarów. I właśnie, zapewne dzięki temu, zapominamy po paru pierwszych zdaniach, że są to wizje. Takie to jest przekonywujące, takie logiczne, jeżeli weźmiemy pod uwagę psychikę ludzką. Właśnie tak musiał to Manuel widzieć, takim był świat jego wyobraźni stworzony na jego obraz i podobieństwo. Świat, w którym odnajdujemy przez szkła powiększające (paczące rysy dzięki masadzizmowi Manuela) i ciotkę Plesse z jej sadyzmem, i Marie Therese, i nienawiść łącznie z młodością, i podłą tchórzliwość Manuela, i niewiarę, do której w życiu niema odwagi się przyznać. Ale nadewszystko problem śmierci, który, tak, jakby Manuel w życiu pragnął, zajmuje umysły wszystkich żyjących, unosi się w powietrzu, zatruwa całą okolicę.

W tym zamku Montenegro, Manuel pełni rolę lektora przy umierającym księciu. Książe umiera „śmiercią rodzinną“, klątwą pokoleń Montenegro i takąż samą umrze kiedyś syn jego. Ale wieża, na której odosobnił się, i zgon, którego cierpliwie czeka, prześladuje wyobraźnię całego otoczenia, a najmocniej córki. Hrabina jest dumna, wyniosła, wzgardliwa; Manuel pokorny i nędzny; lecz tych dwoje, których wszystko powinno dzielić, zbliża szukanie problemu bytu. I kiedy wreszcie, w chwili śmierci starego księcia, hrabina chroni się w pokoju Manuela, to jedynie lęk przed śmiercią, a nie miłość łączy ich. W makabrycznej scenie miłosnej hrabina umiera, a Manuel niepostrzeżenie ucieka z zamku.

Finał opowiada Marie Therèse. Któregoś zimowego popołudnia Manuel wybrał się z nią na poszukiwanie zamku. W drodze zasłabł. — „Ciebie tylko kochałem“ — i „To niemal ze szczęścia“ — powiedział umierając. Czy śmierć miał na myśli? I Marie Therèse, zamykając zapiski kuzyna, zadaje sobie pytanie: Czy wizjoner nie rzuca ostrzejszego spojrzenia na ziemię, i czy w jakimś niewidzialnym świecie wartość żądzy i śmierci niema właśnie tyleż samo sensu, co nasza złudna rzeczywistość?

Za przykładem Marji Teresy zamykamy książkę, a zamykamy z mieszanemi uczuciami, podziwu, niesmaku i sprzeciwu. Można by o niej nie pisać, gdyby nie ukazała się już na półkach warszawskich księgarni. Możnaby nie pisać, gdyby nie jeden ciekawy fakt. Krytyki francuskie omawiały ją szczegółowo i pochlebnie. J. Green jest zdolnym i popularnym pisarzem, „Le Visionnaire“ tematem wielu dyskusyj. Lekarz znajduje tam galerję potologicznych typów, pedagog: — problem wychowawczy, freudzista: teorję snu i wizji, artysta: problemy literackie. I wszystkie te tematy są szeroko omawiane. O jednym francuska krytyka milczy. Ta sama krytyka, reagująca na satyrę Moranda, pessymizm M. de la Gard'a, ta sama, niewymownie czuła na punkcie ambicji i godności narodowej, pomija głęboką ciszą podkreślony przez Greena problem religijny, przejawiający się w zdecydowanej nienawiści Manuela—do Kościoła, do wszystkiego, co katolickie, a nawet chrześcijańskie. A przecież słyszymy stale o odrodzeniu religijnem Francji!

Oskarżam — mówi Green—Kościół katolicki w imieniu Manuela, — oskarżam o hipokryzję, szerzenie bigoterji, pokrywanie modlitwą nienawiści. Ileż pasji wylewają kobiety u stóp ołtarzy! Oskarżam o uczucie pokory sprzecznej z duchem ludzkości, o mamienie obietnicą raju, o szerzenie kultu ofiary. Ten oto Manuel był pokorny, mały, cierpliwy, walczył o czystość i nikogo nie krzywdził, a ludzie deptali po nim w imię swej przewagi. Ale nadewszystko oskarżam o fałszowanie historji: „Cóżeście uczynili z dzielnym rewolucjonistą, odważnym małym człowiekiem, który śmiał stawić czoło rodzinie, społeczeństwu, Rzymowi? Oto człowiek, brat. Jakże się wam udało wynieść go na piedestał i usunąć to wszystko z ludzkiej pamięci, pozostawiając jedynie ofiarę? My, ludzie, nie chcemy mieć Boga, żądamy równego sobie, pozbawionego stygmatu boskości - człowieka!“

Jakież to echo zdaje się odzywać w tych wynurzeniach? Nie protestanckie, o co możnaby podejrzewać Greena. — Przecież Manuel stopniuje swą niewiarę. Od sentecji; „W chwili, w której przestałem być katolikiem, świat zyskał chrześcijanina“ — dochodzi do wyznania: „Jedno Ci Boże mogę ofiarować szczerość — wyrzekam się Ciebie!“ Pseudo - protestancka nienawiść Greena, ujawniająca się w stosunku do kleru, sięga głębiej. Właśnie tak sformułowane pojęcie — właśnie tego „starszego brata“ spotykamy nie gdzieindziej, jak w literaturze komunistycznej. Nienawiść Manuela jest właśnie czysto *społeczną* nienawiścią. Oto jeszcze jeden z miljona niezadowolonych. Jeszcze jeden z apostołów wspólnego poziomu. W wielkim fabrycznym ośrodku, Manuel byłby komunistą, w maleńkiem prowincjonalnem mieście jego zawiść bije w najpotężniejszą instytucję: Kościół. Za mały, za słaby, aby podnieść się wyżej; ściąga na ziemię — do własnego poziomu Boga. Przekonawszy się, że pokora i cierpliwość są niczem, pragnie upokarzać innych i obalić ideał Ofiary. Gdyby był silny i zdrów, walczyłby na innem polu i inną bronią — taki, jaki jest, tchórzliwy i słaby, walczy z ideałami, które nie zdołały mu dać — realnych korzyści.

— Jestże Manuel wyrazicielem poglądów Greena? Trudno stanąć na innem stanowisku. J. Green zdaje się brać żywy udział w poglądach Manuela na zagadnienie śmierci. Manuel, tak gorliwie dociekający tej prawdy, umiera znienacka, przed ustaleniem poglądów. Umiera pokornie i cicho. Możnaby rzec, że odważnie. I zgodnie z opinją Aleksadre'a Arnaux*), który w zbiorze doskonałych szkiców, zatytułowanych „Poesie du Hasard“, pisze w związku z procesem Gauchet — o młodem pokoleniu:

„W sali sądowej... patrzę, niema już Chrystusa. Usunęliśmy Chrystusa, lecz co daliśmy wzamian? Dobrzy do zwalczania i wypędzania, czyśmy zbudowali to obiecywane emfatycznie, choć co prawda szczerze, królestwo, to królestwo mocne, pełne powietrza, gdzie możnaby oddychać i znaleść oparcie. Czy nie dość wymawialiśmy naszym ojcom ich mglistą ideologję, brak zmysłu rzeczywistości? I cośmy przekazali naszym synom? Gdybyśmy mogli całą odwagę, wykazaną w stosunku do śmierci, zastosować do życia, czy doszłoby do tego?

Głos A. Arnaux, zdaje się uderzać w próżnię i wraca bez echa Czyżby mali ludzie w rodzaju Manuela, byli znakiem czasu? Mamy ,małego człowieka“ w nowych hasłach ekonomicznych, w życiu gospodarczem, w programie „Przedmieścia“. I wszyscy zaczynają od zrównania poziomu. Miejmyż nadzieję, że stara recepta filozofów rewolucyjnych, zaaplikowana przez Manuela, ściągającego Boga do *własnego* poziomu, — nie znajdzie u nich oddźwięku.

*) Julien Green. Le Visionnaire. Plon.

*) Alexandre Arnaux. Poésie du Hasard - ed Grasset.

Jan Gralewski

Głośniej

Wiek dziewiętnasty głosił realizm — trzeźwy sposób patrzenia na rzeczy. I oto ucierpiały na tem rzeczy. Poprostu przestały być rzeczami. Zamieniły się w maszyny. Dom przestał być domem — stał się maszyną do mieszkania, krzesło — maszyną do siedzenia. Człowiek, władca świata, rozejrzał się po tym świecie z niepokojem i lękiem. Zamiast dawnych poczciwych sprzętów zobaczył wkoło siebie maszyny. Poczuł się otoczony niemi, zbłąkany wśród nich i przerażony, jak członek wycieczki w fabryce, który pozostał w tyle, gubił towarzyszy i przewodnika i oto znalazł się sam jeden w wielkiej hali, pośród olbrzymich, lśniących i głucho huczących machin.

Maszyna to potęga! Maszyna to zaklęty genjusz ludzkości!

Jakże tu żyć szczęśliwie w takim świecie? Jakże beztrosko i pogodnie wchodzić do zaklętego genjusza ludzkości, w którym wypada nam mieszkać, jakże bez zażenowania usiąść na innym zaklętym genjuszu? Może wypada powiedzieć „Przepraszam“? A może lepiej wyjść na palcach, kłaniając się — nie przeszkadzać, nie zakłócać genjuszom milczącej kontemplacji i uciec gdzieś w pole?

I oto — gdy uciekniemy w pole widzimy z ulgą, że materja, potężna materja, którą rządzą przemądre prawa, zaklęte przez człowieka w maszynach, manifestuje się jakoś bogobojnie i pogodnie w ziemi, drzewach i zbożach, pod jasnem i ciepłem słońcem. Czujemy się swobodnie — wolni i braterscy.

Czemuż więc sami sobie stwarzamy takie niepokojące sprzęty? I to w imię tego niby, abyśmy byli szczęśliwi, aby nam było wygodnie, zdrowo i racjonalnie?

Takie mądre, racjonalne krzesło patrzy na człowieka i na wszystkie dawne sprzęty z jakąś impertynencką pogardą w ostrych, bezczelnych błyskach swej niklowej konstrukcji.

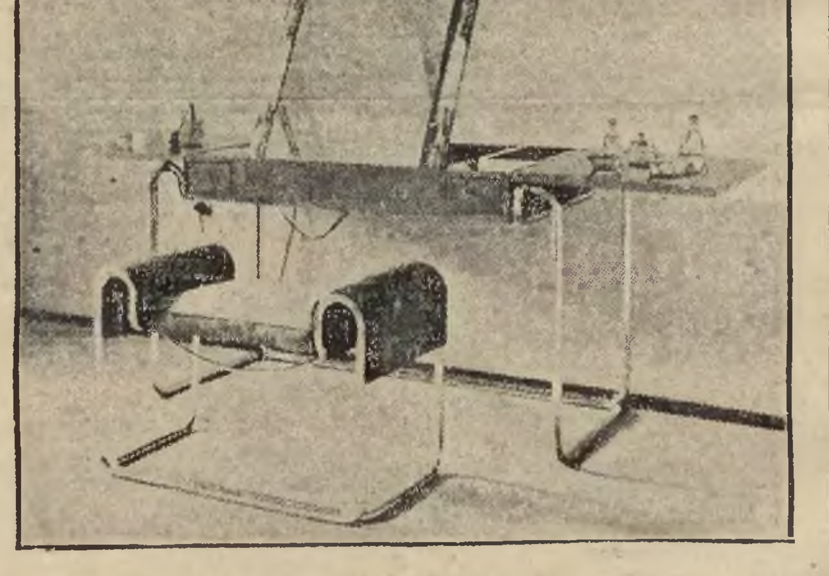
Pogarda to dosyć nieusprawiedliwiona. Zapomniał niklowy stwór, że w prostej linji wywodzi się od tych najbardziej obskurnych secesyjnych i niesecesyjnych mebli z końca zeszłego stulecia, które dotąd jeszcze widzieć można tu i ówdzie w otoczeniu całej świty oleodruków, gipsowych „obżedarów“, pocztówek, zakurzonych trzcin, ze sztuczną palmą na czele.

Pokrewieństwo jest bliskie, choć stosunki rodzinne zostały zerwane i antenatów szuka się raczej gdzieś dawniej, bodaj w Grecji. Kulturalniejsze krzesło niklowe, które coś nie coś załapało historji sztuki i tam dalej, o dawnych meblach wyraża się nawet dosyć wspaniałomyślnie, uznaje ich urodę, choć to przeżytki, ale na tych najbliższych „fatalnych krewnych“ używa, ile wlezie.

Tymczasem nawet bez herbarza genealogję niklowego zarozumialca ustalić można i niewygodnego krewniaka wpisać na miejscu poczestnem, kto wie czy nie na rodzicielskiem.

Bo było to tak, jak ze wszystkiem w tym zabawnym wieku postępu. Każdy syn był wtedy radykalniejszy od swego ojca, bardziej od niego racjonalny, a w gruncie rzeczy byli do siebie bardzo podobni, bo różnica była tylko ilościowa. Syn wyciągał tylko dalsze konsekwencje ze wspólnego założenia.

Między krzesłem „obżedarnem“, a krzesłem niklowem różnica jest trochę bardziej skomplikowana, ale podobieństwo w gruncie rzeczy takie same.



Meble metalowe: Wnętr ze zameczku w Wiśle

Mebel „obżedarny“ był bardzo pompatyczny i „ozdobny“. Dużo wkładano usiłowań w to, by go ozdobić — ale był brzydki. Brzydki, bo ozdoba była jakby doczepiona, jakgdyby rzemieślnik, który go robił, dopiero po wykonaniu zasadniczej konstrukcji dorzucał ozdoby, szepcąc po krawiecku: „Tu przyjdzie szlaczek, a tu przyjdzie kwiatek i pani dobrodziejka wyglądać będzie — paluszki lizać!“

Ozdobność nie była z konstrukcją zrośnięta organicznie, tylko mechanicznie przylepiona. Nic też dziwnego — były to przecież czasy utylitaryzmu i mechanizacji. Potrzebny jest mebel? Oto jest — solidny, mocno zbudowany. Wypada, żeby był ładny? Tu i owdzie przylepia się ozdoby. Trzeba, żeby był jeszcze ładniejszy? Bęc! więcej ozdób — wyrastają wszędzie: kwiaty, gzymsiki, szlaczki. Jeszcze tu wolne miejsce — machniemy sobie szlaczek. Efekt był taki, że pani dobrodziejka wyglądała jak stare pudło w lokach i kokardach.

Nic więc dziwnego, że się to wszystko znudziło i obrzydło do cna. Nastąpiła rewolucja, każdą bowiem dalszą konsekwencję z tego samego założenia w owym buńczucznym wieku postępu wprowadzano przy pomocy rewolucji. Wyrżnąć ozdoby! Szlaczki na latarnie! Precz z burżuazyjnemi ozdobami, które żerują na roboczym ludzie konstrukcji! Niech żyje proletarjat! Niech żyją pracujące płaszczyzny!

Zmiana nastąpiła ogromna. Uczyniło się jakoś mniej duszno i nudno. Zasadnicza jednak postawa utylitaryzmu, z której wynika wygoda i oszczędność, ale nie koniecznie uroda, pozostała.

Krzeslo niklowe przypomina trochę żabę, obdartą ze skóry, i wydaje się, że należałoby sadzać na niem ludzi także ze skóry obdartych, takich, jakich się widuje w podręcznikach anatomji. Byłaby wtedy miła harmonja pracujących mięśni i pracujących płaszczyzn.

Człowiek jednak nie wylazł ze swej skóry i nie potrafi dostosować się do wymagań niklowego stwora, który powiada mu — „Jestem racjonalny i w tem jest moja uroda, niech ci się podobam!“. Oczywiście, zależy mi na tem, aby mebel, któremu powierzam swe ciało, nie załamał się pod niem i żeby mi w nim było wygodnie, ale obok tego ciasnego utylitaryzmu mam jeszcze drugi, szerszy. Chcę, żeby dom, w którym sprzęty ustawię, wyglądał dzięki nim zaludniony i zamieszkały, żeby był ładny.

Tymczasem zaś w rewolucji pracujących płaszczyzn wytworzył się ich swoisty matejarlizm. Konstrukcja dla konstrukcji! Pracujące płaszczyzny walczą o swój interes klasowy, zapominając o tem, że istnieje jakieś wyższe dobro, dla którego zostały stworzone. Tem wyższem dobrem jest dla sprzętu człowiek, który nietylko na sprzętach siada, jada, śpi, ale wśród nich pracuje i odpoczywa. Nieprawda, że sprzęt dla sprzętu, konstrukcja dla konstrukcji. Nieprawda — bo właśnie sprzęt przez człowieka i dla człowieka. Tylko dzięki człowiekowi jesteście i jesteście wogóle sensowne. Im więcej z człowieka jest w was tem więcej jesteście warte.

Taki zaś wytrzeszczony niklowy arogant ma w sobie bardzo niewiele z człowieka. Jest maszyną do siedzenia. Powiada tyle tylko, że człowiek potrafi siedzieć. Dosyć to nieciekawa przypowieść, przytem oddawna znana. Nie poszlibyśmy do cykru, gdyby nam obiecywano, jako atrakcję, człowieka chodzącego na nogach. Wiemy o tem dobrze i koło ludzi w ten sposób pokonywujących głód przestrzeni przechodzimy bez okrzyków zachwytu. Dlatego to zapewne, kiedy patrzę na mebel niklowy, doznaję pewnego niejasnego uczucia spoglądania w próżnię.

Niklowy nowicjusz szczyci się tem, że jest statyczny, że się nie załamie. Ależ to jego pierwszy obowiązek. Zresztą — poczekajno, młodziku. Postój tak długo jak jakiś sprzęt odwięczny, przejdź tyle kolei losu co on, a wtedy zobaczymy, kto z was lepszy. Zapewne, sprzęt starodawny nie znał się naukowo na statyczności. Stateczność jego atoli budzi zaufanie. Rzemieślnik, który go wykonał nie był bylejakim partaczem, nie odwalał kawałków, spełniał swój zawód z zamiłowaniem. Odnosił się do swych sprzętów uczciwie — był z niemi szczery.

Ten zaś, który wykonał niklowego aroganta, okłamał go w brzydki sposób. Bo to nieprawda, że chciał tylko siedzieć. Nieprawda — oto zdradził się zamaszystą czerwienią obicia. Czemu jednak tylko szepcze?

Głośniej! głośniej!



Meble metalowe: Proj. van der Vlugt, Rotterdam

Z nauki i sztuki

— **Z Zachęty.** W lokalu wystawowym Zachęty przy ul. Królewskiej 17 otwarta została wystawa obrazów Stefana Domaradzkiego; na wystawie rozwieszono przeszło 40 prac.

— **Zjazd filologów w Warszawie.** Z okazji setnej rocznicy „Pana Tadeusza“ odbędzie się w Warszawie zjazd filologów. Otwarcie zjazdu nastąpi 6-go sierpnia. Spodziewany jest udział w zjeździe filologów czechosłowackich, jugosłowiańskich etc.

— **Jubileusz Woelfflina.** Dr. Woelfflin, słynny historyk sztuki, profesor Uniwersytetu w Zurychu, obchodzi 70-letnią rocznicę urodzin. Woelfflin utorował drogę estetycznej metodzie badania dzieł sztuki, w przeciwieństwie do metody czysto historycznej. (b)

— **Z Polskiej Akademji Umiejętności.** Wobec zatwierdzenia przez p. Prezydenta Rzplitej wyboru dotychczasowego wiceprezesa prof. Stanisława Wróblewskiego na prezesa Polskiej Akademji Umiejętności, walne zgromadzenie Polskiej Akademji Umiejętności na posiedzeniu z dnia 15 czerwca r. b. wybrało wiceprezesem na następne 5-lecie członka czynnego, prof. Henryka Hoyera. Nowy wiceprezes obejmie czynności po zatwierdzeniu wyboru przez p. Prezydenta Rzplitej.

Wyszła z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach
najnowsza powieść
T. Dołęgi-Mostowicza
p. t.
Trzecia płeć
NAKŁAD TOW. WYD „R O J“